**Wojciech Wojda (Farben Lehre): Łatwo zwalić winę na polityków czy księży**

**Na scenie jest od 1986 roku, bijąc między innymi jeden z rekordów Jarocina i zjeżdżając cały kraj wzdłuż i wszerz. Wywodzi się z punk rocka, jednak w realiach 2022 roku nie chce bawić się w szufladki ideologiczne czy muzyczne. W swojej twórczości porusza tematy charakterystyczne dla kapel wywodzących się z klasycznej estetyki gitarowego buntu, jednocześnie podkreślając wagę autoekspresji. Z Wojciechem Wojdą, frontmanem i tekściarzem Farben Lehre, pogadaliśmy o zmianach w społeczeństwie, muzycznych ewolucjach i... wyjątkowości Legnicy na kulturalnej mapie Polski. Rozmawiał Michał Przechera (Legnickie Centrum Kultury/Strefa de...).**

**Tomasz Budzyński po premierze płyty „Pod wulkanem” powiedział mi, że bardzo często wraca do swoich najświeższych produkcji. Wiem, że od wydania waszych „Pieśni XX wieku” minęło już dobrych kilkanaście miesięcy, ale też macie takie fazy słuchania zrealizowanego niedawno materiału?**

– Nam w duszy grają przede wszystkim nowe wyzwania – gdy robimy świeży materiał i powstają utwory, które nas kręcą, angażujemy się w proces tworzenia – analizujemy, poprawiamy. W tym działaniu mamy dużo do czynienia ze swoją muzyką, bo słuchamy jej regularnie. Szczerze mówiąc, po takiej dawce znamy każdą sekundę, każdy fragment i kiedy już finalizujemy płytę, to śni nam się ona po nocach. Po wydaniu krążka nadchodzi czas na oddech i dystans. Wtedy raczej unikamy katowania tych numerów, bo nawet najlepszy film po dziesiątym odtworzeniu średnio się chce oglądać po raz jedenasty. Ale później – po paru miesiącach, a czasem nawet latach – do własnej twórczości wraca się bardzo dobrze. Nie ukrywam, że najrzadziej słucham najstarszych albumów Farben Lehre – nie do końca mnie przekonują tamte produkcje i ich brzmienie. Z kolei po płyty nagrane już w XXI wieku po latach sięgam bardzo chętnie. „Pieśni XX wieku” realizowaliśmy w czasie pandemii. To stare piosenki, które w wielu przypadkach musieliśmy przebudować niemal w stu procentach. Pracowaliśmy nad tą płytą, mając sporo wolnego czasu, więc zaserwowaliśmy sobie dużą dawkę tych kawałków.

**Jakie emocje towarzyszą wykonywaniu utworów sprzed ponad trzech dekad? Chcieliście poczuć na nowo młodzieńcze czasy?**

– To było dla nas spore wyzwanie, bowiem utwory powstawały w innym składzie i w innej epoce. Oprócz mnie, żaden z obecnych muzyków Farben Lehre ich wcześniej nie nagrywał, więc sami byliśmy ciekawi końcowego efektu tego artystycznego eksperymentu. Praca twórcza stanowiła wielką przyjemność – najdłużej w swojej historii siedzieliśmy nad płytą. Nie brakowało czasu, więc przyłożyliśmy się do wszystkich szczegółów. Nie chcieliśmy sztucznie wywoływać młodzieńczych emocji, bo choć jesteśmy wiecznie młodzi, to dziś nieco inaczej postrzegamy świat, który wygląda całkowicie odmiennie. Planowaliśmy do tamtej twórczości podejść ze współczesnej perspektywy – doświadczenia, umiejętności, możliwości technicznych i wyobraźni. Założyliśmy, że damy nową jakość, sznyt i spojrzenie – i chyba się udało. Lepsze wrogiem dobrego, więc niektóre piosenki rewolucyjnie się nie zmieniły, bo ich oryginalne wersje były wystarczająco udane, za to inne wymagały całkowitej przeróbki i właśnie takie cieszyły nas najbardziej, i stanowiły największe wyzwanie. W skrócie – nie stracić ducha tamtej epoki, ale stworzyć coś świeżego. Do dziś wracamy do tych utworów z dużym sentymentem, ale czasy się na tyle zmieniły, że niewiele z nich gramy na koncertach. To bardziej ukłon w stronę własnej przeszłości, niż krok w przyszłość.

**Teksty, które znalazły się na „Pieśniach XX wieku” to znak, że historia lubi się powtarzać?**

– Nie ukrywam, że kluczem doboru utworów była przede wszystkim możliwość odnalezienia odzwierciedlenia w obecnej rzeczywistości. To z jednej strony trochę przerażające, ale z innego punktu widzenia, satysfakcjonujący dla mnie jako twórcy jest fakt, że te teksty są nadal aktualne, choć niektóre napisałem jako nastolatek. Kazik śpiewał kiedyś o komunie mentalnej i tym postkomunistycznym krajobrazem przez wiele lat wiało w Polsce na każdym kroku. Powiew socjalizmu, zwłaszcza w mentalności, tkwi w niektórych do dziś, choć w mniejszym stopniu.

**Segregacja, nietolerancja – to wszystko mocno brzmiące hasła, które często przebijają się przez codzienne wiadomości, ale jak z tym walczyć z perspektywy wygodnego fotela? Ile w punkowych sloganach... sloganów właśnie?**

– Dziś nie przywiązuję już wagi do hasła „punkowiec”, bo trąci myszką. Punk’s not dead, ale świat idzie do przodu, jak śpiewam w piosence „Dobranoc” z płyty „Stacji wolność”. Na przeszłość patrzę z sentymentem i empatią wobec samego siebie – na swoje błędy, sukcesy czy teksty, które z perspektywy czasu oceniam pozytywnie. Wolę jednak spoglądać w przód. Każdy ma swoją rolę i właśnie tym zmienia świat, niezależnie od tego, czy jest artystą, lekarzem czy piekarzem. W piosence, którą przed chwilą zacytowałem, są też słowa: „walczymy muzyką uzbrojeni w rymy, mamy piosenki, a nie karabiny”. My zmieniamy świat i budujemy świadomość dźwiękami oraz tekstami. Nie zawsze trzeba wychodzić na ulicę z kijami naostrzonymi na władzę czy na taczkach wywozić prezesów. Zmiana zaczyna się od siebie samego. Kazik nie wskakuje przecież na barykady, ale nikt nie wątpi, że Kult zmienia rzeczywistość. W naszym zespole chodzi dokładnie o to samo. Nie rzucamy petardami, nie nosimy transparentów, tylko robimy swoje. Z teoretycznie wygodnego fotela też można przyczyniać się do zmian – choćby przez poezję czy publicystykę.

**To w czym twoim zdaniem leży problem?**

– Niezadowolenie społeczne w latach osiemdziesiątych opierało się na spontanicznym wychodzeniu na ulice. Obecnie ludzie przestali wierzyć, że cokolwiek od nich zależy, i że mogą coś zmienić. To jest głównym problemem dzisiejszych czasów. I chodzi mi tu zarówno o dbanie o ekologię, jak i pójście na głosowanie. Tak naprawdę wszystko zależy od nas, a nasze życie jest w naszych rękach. Łatwo i wygodnie zwalić winę na polityków, księży czy kogokolwiek innego, bo to dobre alibi. Najłatwiej powtarzać schemat typu: „Chińczycy wymyślili pandemię, a inflacja i cała reszta to nie nasza wina”. Przecież to my tworzymy ten świat i w związku z tym wierzę, że mój głos (nie tylko ten wyborczy) jest ważny. Dlatego śpiewam od 36 lat, a nie poszedłem w jakieś spokojniejsze zajęcie czy bardziej intratne biznesy.

**Pomimo zbliżającej się czterdziestki nie zatrzymujecie się w kwestii premierowego materiału. Nowy album już za pasem?**

– Kończymy pracę nad najnowszą płytą Farben Lehre, która nazywać się będzie „Na zdrowie”. 2 stycznia 2023r. wchodzimy do studia, a w lutym wydajemy krążek. Ameryki nie odkryjemy, już zrobił to Krzysztof Kolumb i to bardzo dawno temu. Będzie trochę klimatu z płyt „Achtung 2012” i „Stacja Wolność”, ale pojawi się również odrobina świeżości. Nie chcemy być jak Ramones, dość sztywno trzymający się swojej formy. Nasza nazwa (w tłumaczeniu „nauka kolorów”) poniekąd zobowiązuje do poszukiwania. Ostatni album „Stacja Wolność” był surowy, szorstki i dynamiczno-ekspresyjny. Od lat tworzymy muzykę gitarową, więc nie silimy się na jakieś popowe czy elektroniczne produkcje. Akurat w tej kwestii będziemy jak wspomniani Ramones – tradycyjni i grający stuprocentowo na żywo. To się nie zmieni.

**Niedawno zapowiedzieliście trasę Punky Reggae Live 2023 – szesnaście koncertów i zestaw miast od Warszawy, przez Sosnowiec, po Duklę. Trudno jest skleić taki zestaw?**

– Nigdy nie było łatwo, ale teraz jest jeszcze gorzej – znacznie trudniej zrobić taką trasę niż przed pandemią i wzrostem inflacji. Wiele miejsc upadło. Rzeczywistość nie znosi próżni, ale obecnie nastał okres przejściowy, jak po upadku komuny. Każdy się boi jutra, bo ostatnie 3 lata dały ludziom w kość i wszyscy są ostrożni. Żyjemy z muzyki, więc naszym chlebem powszednim są koncerty, bowiem płyty powoli przechodzą do lamusa. Aczkolwiek, patrząc na temat organizacji koncertów z odległej perspektywy czasu – w latach osiemdziesiątych, gdy zaczynaliśmy swoją przygodę z muzyką, była tragedia. Wszystko odbywało się przez panią Krysię czy pana Stasia, którzy pracowali w domach kultury od 1945 roku – poznałem takich ludzi. W ostatnich latach koncertowy rynek w większości przejął prywatny sektor, ale właśnie on najbardziej ucierpiał na lockdownach.

**A jakie twarze spotykacie najczęściej pod sceną? Farben Lehre zawsze kojarzyli się z dość młodymi odbiorcami – coś się w tej kwestii zmieniło?**

– Wychowaliśmy całe pokolenia publiczności – na nasze koncerty przychodzą zarówno dwudziestolatkowie, jak i pięćdziesięciolatkowie. Nie mamy problemu, że nasi odbiorcy wyrośli, zestarzeli się, czy – wręcz odwrotnie – są dziećmi zależnymi od rodziców. Mamy bardzo zróżnicowanych słuchaczy. A frekwencję na kolejnych wydarzeniach trudno dziś przewidzieć, bo kto wie, czy za chwilę nie pojawi się jakaś jedenasta fala... Energia widzów po pandemii, która wywróciła wszystko, powoli wraca do normy. Dostrzegam jednak, że publiczność stała się bardziej wymagająca. Kiedyś granie w przysłowiowej dziupli nikomu nie przeszkadzało, a teraz oczekuje się konkretniejszej oprawy, komfortu – to syndrom zmiany czasów. W ostatnich latach znowu częściej występujemy też w domach kultury.

**Koncertowo odwiedziliście miasta w całej Polsce, w Legnicy też grywaliście wielokrotnie – pamiętacie konkretne miejsca i zauważacie lokalne różnice w podejściu do kultury?**

– Mam raczej sceptyczne podejście do wielu domów kultury, ale – i nie mówię tego przez kokieterię, tylko z doświadczenia – Legnica jest chwalebnym wyjątkiem na mapie. Graliśmy tu już wiele koncertów i od ponad 20 lat znamy się z Pawłem. To przedstawiciel generacji, która wierzy w sens działania i której zależy. Jednak w większości domów kultury w całej Polsce na wielu stanowiskach kierowniczych rozsiedli się ludzie chcący doczekać tylko do emerytury. A nawet, gdy przyjdzie młodsza ekipa, to szybko przesiąka podejściem „co ja mogę?”, czekając na dyrektywy i nie ryzykując niczego. Inni z kolei, pamiętając syndrom inżyniera Mamonia z filmu „Rejs”, ograniczają się do zapraszania znanych od dekad celebrytów, co można zauważyć zwłaszcza na imprezach plenerowych. Mało jest w domach kultury ludzi z pasją, to duży problem. Takie placówki powinny gromadzić zaangażowaną ekipę, chcącą działać dla kultury, a nie trafiającą tam z przypadku czy klucza partyjno-towarzyskiego. W jednym z miast, przy okazji naszego występu, poznałem gościa, który został wyrzucony po roku z roboty, bo... pracował za dużo i stał się solą w oku reszty załogi domu kultury. Akurat tak się zdarzyło, że trafił na redukcję etatów...

**Wiemy już co pod sceną i za kulisami. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że na scenie – zwłaszcza rockowej – dominują starzy wyjadacze. Jednym z gości na waszej nadchodzącej trasie będzie, nie zaglądając nikomu w dowód, niezbyt młoda Kobranocka...**

– Ale Zenek Kupatasa już jest trochę młodszy... Zespołów mamy oczywiście mniej, mniej jest też chęci i radości z grania. Teraz obowiązuje plan na karierę. Trzeba znaleźć sponsora i producenta, pójść do radia czy firmy fonograficznej. Muzyka zaczyna mieć drugorzędne znaczenie – w końcu zawsze znajdzie się jakiś topowy gatunek, który można wykonywać. Powstało dużo kapel, które niewiele grają, ale sporo oczekują. Przez to setki zespołów bardzo szybko się rozpada. Nie ma kariery, nie ma kasy, więc lepiej iść do korporacji. Muzyka gitarowa nie tyle odchodzi w zapomnienie, co po prostu jest najtrudniejsza. Łatwo jest zrobić coś na komputerze, ale instrumentu nie oszukasz. Wśród młodych ludzi idących w muzykę panuje inna mentalność. Oni często chcą znaleźć szybki sposób na karierę, zarabianie kasy, a przy okazji bajerowanie dziewczyn i tym podobne konfitury. Stąd nagle kapela, która wywodzi się przykładowo ze stylistyki Iron Maiden, zmienia nazwę i zaczyna grać disco polo z przesterem. Doskonale wiedzą, że na tym zarobią więcej niż na klasycznym heavy metalu. Nie chcę wszystkich wrzucać do jednego worka, ale tak to z grubsza obecnie wygląda. Siwy z Defektu Mózgu mówił kiedyś, że to nuda wygnała ich z domu, a przez założenie kapeli chcieli wyrwać się z marazmu. Ja gdy tworzyłem zespół nie myślałem o żadnych apanażach – cieszyliśmy się, że robimy coś kreatywnego, co cieszy nas i słuchaczy, a przy okazji jest naszym małym orężem w walce z komuną. Czuliśmy jakąś misję… Dzisiaj punktem wyjścia jest korzyść, zabawa, a do tego ostra jazda alkoholowo-narkotykowa

**Nie zawsze... W rapie jest chociażby taki Fisz, który od lat trzyma wysoki poziom. Oczywiście średnio przekłada się to na wyświetlenia i popularność, ale facet dzielnie wyraża swój głos.**

– Są wyjątkowe osobowości, ale wiadomo, jakie panują tendencje. Bystrzejsi się nie przebiją, bo świat poraża miałkością i prymitywizmem. Ktoś kiedyś powiedział o Kubie Wojewódzkim, którego znam i do którego nie odczuwam żadnych złych emocji, że to kumaty koleś, który robi tanie chwyty za duże pieniądze. On się bardzo dobrze zna na muzyce i jest kompetentnym dziennikarzem muzycznym, ale choćby wydawany niegdyś przez niego „Brum” padł dość szybko. Niestety, ale zamiast tworzyć coś ambitnego, łatwiej produkować gówno, które się szybko sprzeda. W pewnym momencie inteligentni i zdolni ludzie dochodzą do wniosku, że lepiej robić syf, bo to opłacalne. Ja uważam jednak, że warto robić ambitną muzykę, choć taki idealizm nie zawsze się kalkuluje. Warto być przyzwoitym, choć nie zawsze się to opłaca – cytując Władysława Bartoszewskiego.

**Ale to chyba wcale nie jest prosta sprawa?**

– Jak śpiewał mój nieżyjący już kolega – Mariusz Zalewski z płockiej grupy Strajk – „Nie przestanę być sobą, moja siła jest we mnie”. Niektórym może się wydawać, że muzyka to łatwy kawałek chleba. Grasz festiwale, masz fanów, rozdajesz autografy – co w tym trudnego? Ale żeby koncert się odbył potrzeba mnóstwo pracy, energii i samozaparcia. Po raz kolejny wrócę do podstawy dzisiejszej rozmowy – to moja próba zmiany świata. Swego czasu Roger Waters w filmie „The Wall” pokazał, że ludzi sprowadza się wyłącznie do trybiku maszyny, a dzisiejsze korporacyjne zrównywanie szans tylko to potwierdza. Ludzie zachorowali na znieczulicę i żyją zgodnie z zasadą: każdy sobie rzepkę skrobie. Dopóki mnie coś bezpośrednio nie dotyczy, to nie mój problem. Kogo dziś interesuje, że władza kradnie, a po drugiej stronie ulicy bije się człowieka czy tępi mniejszości?

**Z pewnością szkołą życia był dla was – jak i dla wielu młodych punków sprzed czterech dekad – festiwal w Jarocinie. Jak patrzysz na tę imprezę z perspektywy tak odległego czasu?**

– Pierwszy raz w Jarocinie byłem w 1982 roku, na gigancie z domu. Miałem wówczas niecałe 16 lat. Rokrocznie ten festiwal był dla mnie świętem wolności i zawsze będę go bronił. Jeśli dziś ktoś mówi, że był to jedynie jakiś wentyl bezpieczeństwa czy odgórnie sterowana impreza, to po prostu gada bzdury i upraszcza temat. Oczywiście, że Służba Bezpieczeństwa pilnowała festiwalu, ale z Jarocinem było trochę jak z Sex Pistols – menadżerowi wydawało się, że ma wszystko pod kontrolą, pociąga za sznurki, a członkowie zespołu zatańczą, jak im zagra. Tymczasem okazało się, że... niekoniecznie. Chłopaki okazali się niezwykle wrażliwi, zwłaszcza Johnny Lydon, co udowadnia do dziś, z powodzeniem funkcjonując w Public Image Limited, zaś Malcolm McLaren (menadżer) już wiele lat temu umierał w zapomnieniu. Komunistycznym aparatczykom również się wydawało, że jak się spędzi ludzi w jedno miejsce, będzie można ich łatwo kontrolować. Pilnowano „porządku”, ale ludzie się wyłamywali, uczyli postaw i wartości. Dla mnie to była swoista mekka, obowiązkowe miejsce na wakacje, gdzie czułem powiew wolności. Jeździłem tam jako fan, a w 1987 wybrałem się po raz pierwszy jako muzyk. Farben Lehre ze wszystkich polskich kapel zagrało najwięcej razy na festiwalu w Jarocinie – daliśmy tam w sumie 13 koncertów!

**Któregoś z festiwalowych dyrektorów wspominasz szczególnie dobrze?**

– Różnice były widoczne, każdy z dyrektorów miał inne wizje, choć dla publiczności w sumie obojętne było, kto zarządza festiwalem. Jurek Owsiak wyznawał filozofię „róbta co chceta”, co niezbyt mi się podobało. Kuba Wojewódzki we współpracy z Marlboro i Pepsi kierował się w stronę korpo-festiwalu, na zasadzie: sponsorzy, dużo kasy i zachodnie gwiazdy. Od 1982 do 1994 roku nie opuściłem żadnej edycji i nie ukrywam, że największy sentyment mam do Waltera Chełstowskiego. Uważam, że źle się stało, że Jarocin – a było ku temu sporo okazji – nie wrócił do współpracy z nim. Dziwi mnie to, że brali wszystkich, tylko nie człowieka, który zaprezentował konkretną wizję imprezy. To on bardzo wysoko cenił młode zespoły i stawiał przede wszystkim na konkurs. Ale gwiazdy też zapraszał. Podczas mojej pierwszej edycji (1982) wystąpili w tej roli: TSA, Republika oraz... ART Rock z Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Kolejni organizatorzy coraz bardziej spychali konkurs na margines festiwalu. Po reaktywacji w XXI wieku, od samego początku stawiano na głośne nazwy; aktualnie zmagania młodych kapel odbywają całkowicie z boku, na przyczepie od TIR-a albo na polu namiotowym, a do tego w godzinach porannych. Żenujące, że tak traktuje się zespoły. Cieszę się, że za czasów wspomnianego Chełstowskiego udało nam się w Jarocinie zagrać chociaż raz.